

Ziemia Święta

[Slice of Life][Tourist]

Flipper Fall siedział przy stoliku restauracji w Jerustallion i przyglądał się miastu przez okno znad talerza koszernej sałatki warzywnej.

Starożytne miasto, kolebka trzech wielkich religii, arena niezliczonych wojen, a także, jakby na ironię powszechnemu equestriocentryzmowi, miejsce narodzin Władczyni Słońca i Księżycy, prezentowało się w tej chwili wyjątkowo spokojnie. Najprawdopodobniej dlatego, bo mniej więcej za godzinę miało zejść słońce, a był piątek.

A w piątek o zachodzie słońca rozpoczynał się szabas.

Lunizraelici, stanowiący zdecydowaną większość mieszkańców miasta, przez jeden dzień w tygodniu – od zachodu słońca w piątek do zachodu słońca w sobotę – na cześć Władczyni Nocy oddawali się wypoczynkowi. Zgodnie z tradycją nie wolno było im w tym czasie rozniecać ognia, a także używać urządzeń elektrycznych, jako że kapłani lunarni nawet uruchomienie takowego interpretowali jako skrzesanie iskry. Wszystkie światła – z wyjątkiem tych absolutnie niezbędnych – na czas szabasu gasły, aby mieszkańcy mogli odpoczywać, spożywać wieczerzę i cieszyć oczy widokiem nocnego nieba, dzieła Pani Nocy.

Flipper przyglądał się równo wybrukowanej, porządnie wysprzątanej ulicy i stojącym przy niej czystym budynkom, zbudowanym według najlepszych neighropejskich i equestriańskich wzorców architektonicznych. Naprzeciwko widniał gustowny neon sklepu całodobowego 24/6 (czyli działającego zawsze z wyjątkiem szabasu), w którym kilku miejscowych robiło ostatnie zakupy. Środkiem jezdni przejechał tramwaj. Gdyby ktoś zobaczył tę scenę bez kontekstu (i zignorował charakterystyczny lunizraelski alfabet, trudny do pomylenia z czymkolwiek innym), mógłby się nie zorientować, że to Saddle East, jeden z najbardziej niespokojnych regionów na świecie.

Kto jednak o tym wiedział, mógł dostrzec niewielkie oznaki tego, że pod przykrywką porządku i spokoju wciąż bulgotało. Gdy tramwaj zatrzymał się na przystanku, wysiadło z niego pięciu pasażerów, w tym trzech żołnierzy z długą bronią. Sam pojazd wyposażony był w kuloodporne szyby – nie było to w żaden sposób widoczne z zewnątrz, ale Flipper czytał o tym przed przyjazdem, a dokładna obserwacja z pozycji pasażera pozwoliła mu potwierdzić te informacje.

Co istotniejsze jednak, za wypiełgnowanymi budynkami widniał wysoki, betonowy mur. Wąska, poprzeczna ulica przechodziła przez wielką, pilnowaną przez kilku żołnierzy stalową bramę, w tej chwili otwartą. Za nią widać było kilka pustynnych wzgórz pokrytych chaotyczną zabudową.

Te wzgórza leżały już na terenie Autonomii Celestyńskiej.

Stanowiła ona spory obszar zamieszkaną w większości przez araby¹, które nienawidziły Lunizraela i chętnie rozwaliby go na kawałki, gdyby nie wojsko i rozmaite służby utrzymywane przez lunizraelskie państwo. Konflikt miał podłoże religijne, etniczne oraz terytorialne, trwał od wieków i nie zanosilo się na jego szybkie zakończenie. Obie strony chowały do siebie nawzajem silną urazę i obie uważały, że mają i zawsze miały w tym sporze słuszość.

– Przepraszam...

Kuc lekko wzdrygnął się, wyrwany z zamyślenia przez głos właściciela lokalu. Brodaty jednorożec z długimi pejsami i w jarmulce na głowie wskazał na ledwo napoczętą sałatkę jerustalliońską Flippera.

– Będzie pan to jadł? – spytał brodaczy płynnym equestriańskim. – Bo wie pan, zaraz będę musiał zamykać... A pieniędzy za niezjedzone potrawy nie zwracamy.

– Och, przepraszam... Zagapiłem się – odpowiedział Flipper. – Zaraz to skończę.

Z szybkością godną odkurzacza kuc wciągnął sałatkę do pyska i żuł przez chwilę, zanim połknął.

¹ Takie konie.

– Gotowe – odpowiedział. – Zresztą i tak miałem już się zbierać, muszę zdążyć przed zamknięciem bramy...

– Pan chce iść teraz do Autonomii?! – Właściciel lokalu wytrzeszczył oczy.

– Owszem, a co?

– Niech pan na siebie uważa. Tym arabom nie można ufać – przestrzegł jednorożec. – Nie dalej jak tydzień temu mój kuzyn został obrzucony kamieniami przez tych parszywych brudasów. No, możliwe że najpierw to on do nich podbijał, żeby się wynosili na swoją stronę... ale serio, kamienie?

– A stało mu się coś poważnego?

– No w sumie nie, bo akurat w okolicy byli jego kumple i pomogli mu wklepać drani w asfalt. Ale niech pan sam powie, czy to jest cywilizowane zachowanie?

– No cóż, ja nie jestem Lunizraelitą – odpowiedział Flipper.

– Equestrian też nie lubią.

– Spokojnie, nie jestem też Equestrianinem.

– A skąd pan jest?

– Z Foaland. Wie pan, między Germaneigh a Hooviet Union... Właściciel zamarł na chwilę.

– Serio?! A... tam u was naprawdę wszyscy nienawidzą naszych?

– Nie powinien pan wierzyć stereotypom – odpowiedział z szerokim uśmiechem Flipper. – A wy naprawdę rządzą światem?

– Dobra, dobra, rozumiem o co chodzi – mruknął pod nosem brodac.

Dwie godziny później Flipper był już na samym środku gwarnej ulicy, wypełnionej po brzegi arabami.

Autonomia Celestyńska, widziana z bliska, była przeciwieństwem Lunizraela we właściwie każdym możliwym aspekcie. Nie było tu szerokich bulwarów, tylko kręte, wąskie uliczki, przy których zamiast zadbanej, nowoczesnej architektury stały konstrukcje noszące widoczne ślady dzikiej rozbudowy, które przyprawiłyby każdego inspektora budowlanego o zawał serca. Nie było tu neonów – zamiast tego kable poprowadzone w sposób urągający wszelkim zasadom BHP zasilły fluorescencyjne szyldy, z daleka świecące po oczach jaskrawymi kolorami i napisami w charakterystycznym alfabecie arabów przypominającym wijące się dżdżownice.

No i, w przeciwieństwie do pogrążonego w tej chwili w ciszy Lunizraela, Autonomia nie uznawała szabasu. Arabcy były stworzeniami słońca – pięć razy dziennie oddawały pokłony w kierunku Canterlot i powtarzały trzykrotnie „Nie ma alikorna nad Celestią, a Słońce jest na jej zadzie” – ale to nie znaczyło, że zaraz po zejściu dziennej gwiazdy życie zamierało. Przeciwnie, w miesiącu postnym – ramadanie – mogły jeść i pić dopiero wtedy, kiedy, jak mawiały, „Celestia nie widzi”. A i w pozostałych miesiącach tłumy wypełniały ulice w chłodne wieczory, oferujące nieco wytchnienia od dziennego upału.

Flipper szedł środkiem wąskiej uliczki, od czasu do czasu schodząc na bok, aby przepuścić przejeżdżający powóz. Sałatka nie zaspokoila całkowicie jego głodu, wobec czego kuc rozglądał się teraz za kolejnym lokalem gastronomicznym. Po obu stronach ulicy widniały liczne herbaciarnie, jednak, na nieszczęście Flippera, były one już wypełnione po brzegi miejscowymi, którzy, dyskutując między sobą w swojej charkotliwej mowie, powoli popijali z malutkich szklaneczek mocną, gorącą herbatę z dodatkiem mięty, pociągali z fajek wodnych aromatyczny tytoń, na bieżąco uzupełniani przez obsługę, i przesuwali pionki po planszach do tryktraka z taką szybkością, że ledwo można było za tym nadążyć wzrokiem.

W oddali jednak dało się zauważyć niewielką knajpkę z szybkim jedzeniem na wynos. Oczywiście napisy były dla kuca nieczytelne, jednak uśmiechnął się on do siebie, gdy zobaczył zdjęcia potraw. Jedną z nich był falafel, który podróżnik bardzo cenił. Co istotne, duża grupa

miejscowych odchodziła właśnie od knajpki z zadowolonymi minami, rozmawiając głośno i zając różne dania z repertuaru baru. Kuc uznał to za wystarczającą rekomendację i korzystając z tego, że chwilowo nikt nie zamawiał, podszedł do lady.

– *Salaam alejkum* – przywitał się.

– *Wa'alejkum salaam* – odpowiedział stojący za ladą arab, zwracając się w stronę Flippera. – Eee... panu podać? – zapytał łamanym equestriańskim.

– Falafel raz, sos mieszany – odpowiedział kuc z silnym wschodnioeuropejskim akcentem, silniejszym niż ten, który zwykle pojawiał się w jego wymowie. Sprzedawca krzyknął coś do swojego pomocnika, który natychmiast zaczął uwijać się jak w ukropie.

– Piętnaście szekli – powiedział arab, a Flipper wyciągnął żądaną sumę z kieszeni. – Pan turysta? Skąd pan?

– Z Foaland.

Sprzedawca zamarł na chwilę.

– A... to prawda, że nienawidzicie naszych?

– Nie powinien pan wierzyć stereotypom – odpowiedział z uśmiechem Flipper. – Pan chyba nie ma bomby pod tą ladą?

– Dobrze, dobrze. – Arab uspokoił się. – Jak panu podoba nasza Autonomia?

– Na razie bardzo. Wygląda wyjątkowo... spontanicznie – odparł podróżnik, rozglądając się dookoła. – W każdym razie w porównaniu z Lunizraelem...

– W porównaniu z tymi okupantami wszystko dobre – burknął jego rozmówca przez zaciśnięte zęby. – Pan chce usłyszeć historię?

Chyba nie mam wyboru, pomyślał Flipper.

– Dobrze – odpowiedział.

– Nie dalej tydzień temu te parszywe okupanty najpierw zwyzywać mój kuzyn, a potem spuścić mu łomot tak, że on wylądować w szpital! No, może i on obrzucić ich kamieniami po tych wyzwiskach... ale serio, Lunizraelici, zawsze mówić, że one tak bardzo cywilizowane, a tak naprawdę to zwyczajne barbarzyńcy! Nie?

– Słyszałem niedawno podobną historię – mruknął na wpół do siebie Flipper.

– No właśnie! – odpowiedział arab z satysfakcją w głosie. – Pański falafel – dodał, przejmując od pomocnika przygotowane właśnie danie. – Zapraszamy ponownie!

– Dziękuję – odparł kuc, odbierając potrawę i odgryzając jej kęs. Smakowała wybornie. Podróżnik ruszył dalej ulicą. Niedaleko stąd miał zarezerwowany nocleg.

Rzucił jeszcze szybkie spojrzenie w kierunku pogrążonego w ciszy Lunizraela. *Przy takim stopniu wzajemnej niechęci, pomyślał, jeszcze długo to będą dwa różne światy...*

– I bardzo dobrze – mruknął do siebie.